



Panna Foch to po prostu mądra lektura, niosąca nadzieję, rozpędzająca obawy i lęki, ale też dająca wiele powodów do uśmiechu. Bohaterowie potrafią być zabawni, elokwentni i nieszablonowi.

*Agnieszki Hałubiec
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu*

Żegnaj, Warszawo, odtąd będę wygnańcem na koszarnej prowincji!!! – myśli nastoletnia Pola, której rodzice odbierają dawny, cudowny blask wielkiego miasta, aby osiąść w małej wiosce. O zgrozo, widzą w tym wielkie szczęście!

Jest w tym pewien sens, ale o tym Pola przekona się, gdy da szansę innym i przeskoczy własne ego. Ile ważnych spraw i ludzi można zgubić, gdy się jest ślepym i głuchym na wszystko? Nawet na prowincji doświadczyć można prawdziwej przyjaźni, byle tylko nie za często strzelać focha. Pola potrzebuje czasu, aby powiedzonko „u nas, w Warszawie” zamienić na „u nas, w Wiśniowej Górze”. Ale z nową ekipą przyjaciół i zabawnym rodzeństwem musi się udać!

Barbara Kosmowska

Pisze dla dorosłych, młodzieży i dzieci, jej książki są zawsze entuzjastycznie przyjmowane przez czytelników i krytykę. Za całokształt twórczości uhonorowana statuetką Guliwer w krainie Liliputów. Laureatka licznych nagród literackich, m.in. za książki: *Sezon na zielone kasztany*, *Pozłacana rybka*, *Obronić królową*.

Dziwne... mówimy o zimnej zupie, a na sercu robi się ciepłej

Pryszczaty dziś mi się ukłonił. Ale wcale nie tak jak chłopaki z mojej dawnej klasy, na luzaku. Raczej tak jakby połknął przed chwilą tę sztachetę, którą razem z panem Ptasikiem przybija do płotu.

Skinęłam mu łaskawie głowę. Niczym królowa. Mama twierdzi, że w każdej trudnej sytuacji należy być jak księżna, no to akurat nadarzyła się okazja. Ale gdy wykonywałam ten pełen godności gest, jak na złość przeciął mi drogę wąż do podlewania i rymśnęłam na ziemię. Prosto w kałużę po niedawnym podlewaniu zasianej trawy.

Kątem oka zauważyłam, jak Pryszczaty odwraca się błyskawicznie plecami. Jego ramiona lekko zadrżały. Chyba się nie rozpląkał ze współczucia dla mnie, więc... Czyżby miał chęć się śmiać?!

Ubłocona, z podniesionym wysoko czołem, ruszyłam do domu. Ledwo stanęłam w kuchni, bliźniaki wykonały wspólny wytrzeszcz i wskazując na mnie palcami, podniosły lament.

- Mamo! Bobik jest walnięty! – wykrzykiwał Groszek.
- Uwalony! – upierała się Fasolka.
- Uwalany – poprawiła bliźniaki mama, z trudem powstrzymując się od śmiechu.
- Milczeć! – przerwałam tę radosną zabawę. – Mam dość błotnych kąpeli i złośliwych bachorów!
- Ania uratowała aż dwa życia, bo zjawiła się w samą porę, gdy byłam już gotowa prac bliźnięta i wieszać je na sznurze do suszenia bielizny.
- Przychodzę służbowo! – Uśmiechnęła się ostatkiem sił, bo oba potwory przywarły do niej w śmiertelnym uścisku.
- Cudownie wybawiona przez mamę, pomknęła za mną na piętro.
- Sama nie dam rady – zaczęła. – W domu sierpniowe prace, a festyn już za tydzień. Pomożesz mi?
- Jaaaaa? – Zrobiłam wielkie oczy. – Nigdy nie pracowałam w polu – dodałam szybko, aby nie sądziła, że odmawiam.
- Ania w śmiech.
- Nie chodzi o żadne pole! Ja też nie siedzę na traktorze! Mówię o festynie!
- Myślałam, że na festynie je się wate cukrową i bierze udział w loterii...
- Bo tak jest. Ale my, to znaczy dziewczyny z naszej klasy, zbieramy co roku pieniądze na zimową świetlicę. Potem robimy andrzejki, potańcówki... Nie mamy dużych dochodów, ale turyści są szczodrzy, a i mieszkańcy Wiśniowej Góry chętnie się dokładają.
- Chodźcie z puszkami? Jak aktorzy?

- Nie! Urządzamy własny kramik. Sprzedajemy ciastka domowej roboty, kanapki z konfiturą... Co roku są nowe smakołyki.
- Super! – ucieszyłam się szczerze. – Wchodzę w to! Nareszcie coś się wydarzy!
- Anka też była uszczęśliwiona, choć przecież to ona zrobiła mi prezent. Już planowałam, co dam na stoisko od siebie. Wiadomo, przychodził mi do głowy tylko chłódnik, ale zanim zdążyłam go zaproponować, Ania klasnęła.
- Pola... A twój chłódnik? Byłby hitem! Najlepsza zupa na lato!
- Naprawdę? – Zarumieniłam się. – Myślisz, że mógłby być?
- Jadłam przecież! – obruszyła się. – Twoja zupa to poezja. Zrób chłódnik. Zobaczysz, będzie się sprzedawał jak ciepłe bułeczki.
- Byłe nie jak ciepły chłódnik i zimne bułeczki – podchwyciłam.
- Śmiałyśmy się, a Jason spoglądał na nas ze ściany z jawnym zgorzeniem. Dotąd uśmiechałam się przecież głównie ze względu na niego.
- Dziwne – pomyślałam, kiedy Ania pobiegła do domu. – Mówimy o zimnej zupie, a na sercu robi się cieplej.
- Za oknem zapadał zmrok. Pryszczaty, prawie niewidoczny w ciemnościach wieczoru, wciąż majstrował przy płocie i w szklarni.
- Czy on ma w ogóle gdzie mieszkać? – zapytałam tatę, przeskadzając mu w zgłębianiu tajemnic botaniki.
- Kto? – zapytał tata nieprzytomnie, podnosząc wzrok znad książki.

– No, twój wierny pomocnik, Jaś Fasola. – Wydełam lekko dolną wargę.

– Skąd pomysł, że nie ma?

– Bo zapada noc, a on wciąż pracuje. – Wzruszyłam ramionami.

– Zarabia. – Tata powiedział to z jakąś męską satysfakcją. Jakby mu się podobało, że dzieciak w moim wieku kopie ogródek po nocy.

– Ale już późno. Dzieci nie powinny tyle pracować.

– Ooo! – ucieszył się tata. – Dobrze to słyszeć. Też tak uważam – dodał po chwili. – Problem w tym, że to Janka pomysł, aby dziś zostać dłużej. Jutro go nie będzie.

– A to nowina! – zakpiłam. – Przecież nie może go tu nie być! Jest zawsze. Jak te wielkie łopuchy pod naszym płotem!

Tata obrzucił mnie krzywym spojrzeniem.

– Ciesz się, że nie musisz od dzieciństwa ciężko pracować. Niektórzy muszą. A co ważne – chcą. Uszanuj to.

Po tych słowach tata z groźną miną odleciał w swój roślinny kosmos, a ja zostałam z kiepskimi myślami. Już kilka razy padło ze strony rodziców podejrzenie, że jestem czepialska jak rzep. Czy należało brać pod uwagę słuszność tych zarzutów?

Postanowiłam zapobiec narastającym wątpliwościom. Niechętnie opuściłam kanapę, ruszając do kuchni. Zaparzyłam herbatę, zrobiłam grzankę z kozim serem i uzbrojona w latarkę, poszłam do szklarni.

Stał tam. Ledwo go widziałam w przyćmionym świetle ogrodowych reflektorów. Chyba drgnął na mój widok.

– Pomyślałam, że jest późno – odezwałam się pierwsza – więc przyniosłam coś ciepłego.

Postawiłam kolację na ławeczce.

– To naprawdę dla mnie? – Miał miły głos. Jakby oplatał słowa aksamitną wstążką.

– Mhm – przytaknęłam, siadając obok talerza. A przynajmniej sądziłam, że obok. Tymczasem usiadłam centralnie na kanapce, a gdy poderwałam się z miejsca, było już za późno. Kolacja wylądowała u moich stóp.

– Tylko nie to! – zdołałam z siebie wydusić.

– Spokojnie! – Pryszczyty machnął ręką. – To nie twoja wina. Ławka jest trochę na niby. – Znów wyczułam w jego słowach ten aksamit. Uśmiechnął się przepraszająco, jakby to on usiadł na cudzej kolacji, a potem wytarzał ją w ziemi ogrodowej.

– W zasadzie nie jestem głodny – dodał. – Ale herbatę chętnie wypiję.

Szybko sięgnął po kubek, być może z obawy o jego dalsze losy.

– Dobrze, że nie karmię żniwiarzy jak Ania – burknęłam.

– Z ogrodnikami idzie ci całkiem nieźle – odparł.

Myślałam, że kpi. Jednak nie. Jego ciemne oczy lekko błyszczały w świetle latarki. I nic więcej. Żadnego zduszonego śmiechu. Za to ze mną działo się coś dziwnego. Najpierw zachichotałam. Potem jeszcze raz, aż runęła lawina hamowanej dotąd wesołości.

Chłopak patrzył na mnie strapiiony.

– Pomyśl... – odezwałam się, z trudem łapiąc oddech. – Nakrywam do stołu, zapraszam gości, a potem siadam im na przekąskach! Perfekcyjna pani domu!

Po chwili były już dwie lawiny. Bo on też się śmiał. Tym swoim aksamitem, ale zaraźliwie, tak jak lubię. A kiedy

zamilkliśmy, ze zdumieniem spostrzegłam, że w zasadzie ten cały Janek niczym się nie różni od moich warszawskich kolegów. Wstyd przyznać, ale może jest nawet jakby doroślejszy...

Dosyć! – skarciłam się w duchu.

– Na dzisiaj dosyć – nieświadomie powtórzył za mną Janek. Uporządkował narzędzia i oddał mi pusty kubek.

Następnego dnia postanowiłam go unikać. Od rana sprawdzałam, czy jest na swoim miejscu, czyli w powstającej szklarni, na plantacji albo w ogrodzie. Musiałam to ustalić, ponieważ unikanie wymaga rzetelnej wiedzy, gdzie przebywa delikwent, którego chcemy unikać. Słońce już grasowało w pobliskich wierzbach, a Janka wciąż nie było. Zaczynałam się złościć, gdyż uwierał mnie bok od przylegania do parapetu. Zrozumiałam, jak niewygodną pasję miała nasza sąsiadka z Warszawy, pani Boniuś, którą mama podejrzewała o to, że przesiedziała w oknie całe życie. Kusiło mnie, aby też położyć poduszkę na parapecie, ale zbyt duże podobieństwo do pani Boniuś nie było wskazane.

Poszłam do ogrodu na prośbę taty. Dostrzegł mnie za firanką i zapytał, co wolę: udawać panią Boniuś czy pomóc mu w segregacji ziaren.

– Pomogę – odpowiedziałam z ociąganiem. – Skoro cię zawiódł twój pomocnik...

– Nie zawiódł – tata mocno zaakcentował pierwsze słowo. – Wspominałem ci przecież wczoraj, że nie przyjdzie. Być może nie będzie go do końca tygodnia.

– Jak to?! – prychnęłam ironicznie. – Są sprawy ważniejsze od naszego ogrodu?

– Nie nabijaj się z Jaśka. – Tata znowu zrobił się bardzo poważny. – Są takie sprawy, że... Że szczęśliwi ci, którzy nie mają o nich pojęcia – powiedział znacząco. Tak abym rozumiała. Niestety, nie zawsze rozumiemy swoich rodziców.

Skończyliśmy o zmroku. Po raz pierwszy pomyślałam, że nie zazdroszczę Pryszczatemu tej roboty. Znacznie przyjemniej dosiadać Rozalii i robić postępy w kłusie.

Nawet pani Boniuś ma zdecydowanie przyjemniejsze życie – pomyślałam, szorując czarne od ziemi ręce.

Dziennik Janka Muzykanta

Moja eM w szpitalu, a ja się cieszę. Bo nareszcie ktoś nam pomaga! Okazało się, że lekarz przepisywał jej od lat źle dobrane tabletki. Teraz wszystko się zmieni. Pani Dorota powiedziała, że specjaliści wybiorą odpowiedni lek i że nasze życie wcale nie musi być takie trudne.

Teraz eM trafiła pod dobry adres, a ja mieszkam u ciotki i codziennie chodzę na oddział. To nie jest łatwe. W sali, w której umieszczono eM, leżą dwie inne pacjentki. One też uciekły do swojego świata. Magda jest niewiele starsza ode mnie. Trochę się wstydzę, kiedy przychodzę, ale potem zapomina się wstydzić i fajnie sobie rozmawiamy. W gorszym stanie jest pani Zosia. Taka ładna, że mogłaby być aktorką. Cały czas do siebie mówi i łatwo wpada w gniew. To nie jej wina. Choroby duszy są najgorsze. Także dla tych, którzy na nie patrzą. Ale eM czuje się zupełnie nieźle. Dawno jej nie widziałem takiej uśmiechniętej

i spokojnej. Mogłaby tylko nie wspominać o moich piosenkach, przestać mnie chwalić i głaskać po głowie. Umieram z upokorzenia, kiedy to robi.

Na szczęście profesor rozmawia ze mną jak z dorosłym. Powiedział, że kiedy zrozumie chorobę eM, przestanę się jej wstydzić.

Wróciłem do ciotki zdumiony. Bo skąd profesor wiedział, że ja się wstydzę? Przecież mu o niczym nie wspomniałem...

Nie byłem pewien, czy w ogóle chcę o tym pisać. Ale od czegoś trzeba zacząć.